

PIERWSZY PORYW MIŁOŚCI

Zam Believingood „Życie Jadzi według mnie”, Zielona Góra 2014, Wydawnictwo MW SKALA, ss. 126.

Szczupła, niepozorna z wyglądu książka Zama Believingooda „Życie Jadzi według mnie” niesie ze sobą całkiem interesujące treści, które rzucają nam nowe światło na zawiloci współczesnych relacji damsko-męskich, ale też sytuują je, co dziś jest zupełnym ewenementem, w kontekście jawnie chrześcijańskim. Oto bowiem główny bohater książki, mężczyzna w sile wieku, poznaje znacznie młodszą od siebie kobietę, od której emanuje jakaś tajemnicza dla niego siła, pogoda i spokój. Jego wybranka jest chrześcijanką, która dzięki swej dojrzałej i przemyślanej wierze potrafi poruszać się po meandrach naszego ponowoczesnego świata, pracując i rozwijając się zawodowo, a jednocześnie walczyć o swoją własną przestrzeń wiary. Na marginesie, bardziej wnikliwie opisane tego, jak kobieta ta godzi swą wiarę z nowoczesnością, byłoby na pewno godne wysiłku. Może ze strony innych autorów, którzy podobnie jak Believingood zechcą opisywać losy bohaterów, traktując na poważnie sprawy ich ducha, a nie pomijając je z założenia.

Pisać o pierwszym porywie miłości, zauroczeniu, pisać o tym w dzisiejszych czasach, pisać żywym i współczesnym językiem, pisać o miłości w czasach dzisiejszych i do tego naturalnie wpleść w to inspirujące wątki religijne i teologiczne, to wyczyn nie byle jaki. I już z samego tego powodu autorowi, ukrywającemu się pod wiele mówiącym pseudonimem Believingood należałyby się chwała i zainteresowanie ze strony tej części inteligencji, która choć ma niełatwe relacje z wiarą i Kościołem jako instytucją, to przecież nieobce są jej odwieczne pytania ludzkości twórczo zrekontekstualizowane przez tradycję chrześcijańską. Autorowi należy się też oddzielna pochwała za naturalny, żywy styl narracji, który w wielu miejscach sięga udanie po autoironię, sarkazm, absurd czy czasem humor nawet jarmarczny, ale właśnie dzięki temu językowi bohatera nabierają swoistej wagi jego wysiłki rozumienia motywacji jego wybranki. A przychodzi ona do naszego bohatera jakby z innego świata.

Spokojnego, ale i nudnego inżyniera obsługującego systemy kanalizacyjne, czyli - jak sam mówi o sobie - „inżyniera od gówien”, wyrzywa z jego monotonnego życia skupionego na pracy, wieczornym piwie i telewizji kobieta, która nie dość, że go zauroczyła od razu, to jeszcze akceptuje jego specyficzny humor, ocierający się czasem o skatologię, a przede wszystkim akceptuje go jako całość, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Bohater, w którym ktoś nagle zobaczył coś pięknego, sam się zmienia. To znany motyw chrześcijański. Bezwarunkowa miłość jest w stanie otworzyć każde serce i dać człowiekowi

nowe życie. Tylko bowiem pełna miłości akceptacja nie wywołuje w nas mechanizmów obronnych i lękowych, ale pozwala otworzyć się na drugą osobę. Bez tego żadna relacja międzyludzka, a zwłaszcza miłość, nie może funkcjonować.

Porażenie ową akceptacją, które w bohaterze rodzi miłość i chęć zmiany życia, autor opisuje na wiele sposobów: śmiesznych, prozaicznych, cudownych, ale zawsze uderzających autentyzmem przełożonego na słowa doświadczenia. Mając wgląd w przeżycia zauroczonego inżyniera, mamy dostęp do różnych prób zrozumienia przez niego świata kobiety, którą życie postawiło mu na drodze. Wiedząc o chrześcijańskiej tożsamości swej wybranki, rozumiejąc, iż religia jest dla niej ważnym i świadomie przeżywanym elementem życia, czując, że z wiary czerpie ona swą wyjątkowość, inżynier musi dokonać niezwykle go jak na siebie wysiłku przełożenia tych problemów na swój dość ubogi, ograniczony język i sferę doświadczeń. Bo choć odebrał wychowanie katolickie, chodził nawet do kościoła, to religia była dla niego sprawą martwą, nieciekawą, odległą. Poznanie kobiety, która nie tylko jest wierzącą osobą, ale i żyje wiarą, jest, używając języka antropologicznego, jak spotkanie badacza z Europy z przedstawicielem jakiegoś bliżej nieznanego plemienia amazońskiego. Bohater podejmuje więc nadludzkie nieraz wysiłki, sięga po opasy, ciężki jak cegła tom „Teologii Starego Testamentu” Gerharda von Rada (dobrze znany wszystkim studentom teologii), ale przegrywa to starcie. W książce *Believingooda* nie ma bowiem cudów. I dobrze. Bohater nie zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, nie zapisuje się do koła biblijnego w parafii. Jest przecież nadal „inżynierem od gówień”, z całym swym bagażem przemyśleń i doświadczeń, ale w tym jego świecie zaczęła kiełkować jakaś nieznaną mu roślina, której wzrostowi przygląda się z ciekawością i życzliwością, czekając na to, jakie owoce przyniesie.

Ziarno zostało zasiane. Padło jednak między ciernie. Te ciernie wyrastają powoli, ale nieuchronnie, kiedy Jadzia i inżynier zamieszkują razem, kiedy zmagają się z brakiem akceptacji ich związku przez rodzinę Jadzi, czy wreszcie, kiedy oczekują na narodziny córeczki. Nasz inżynier kocha nadal Jadzię, ale wyrażenie tej miłości w praktyce nie przychodzi mu łatwo. Dawne nawyki i przyzwyczajenia wołają o swoje prawa i czas rozpocząć prawdziwą walkę, której nikt za bohatera książki *Believingooda* nie stoczy. Nie wystarczy więc uwierzyć w dobro. To też bardzo chrześcijański wątek w „*Życiu Jadzi według mnie*”. Jeśli nawet dana nam zostanie łaska przemiany, niezasłużony dar, to nie zwalnia to nas od pracy nad jego wcieleniem we własne konkretne życie. Dla naszego inżyniera to zadanie kolosalne, zadanie piekielnie trudne, ale zarazem to wyzwanie, którego jest on świadomy. Nie raz upadnie, nie raz powstanie. Liczy się jednak wytrwała droga w dobrym kierunku, gdyż na szczęście *Believingood* nie ulega groźnej dziś chorobie samourzeczywistnienia, samokontroli, samorealizacji, wiedząc, że sam z siebie człowiek niewiele może uczynić.

Tu warto wspomnieć o pewnej pułapce, w którą bohater, a przez to i autor książki czasem wpada, traktując swą wybrankę jako osobę jakby zza światów, nieskazitelną i dobrą, wobec której on jawi się jako egoistyczny i ograniczony do przyziemnych potrzeb osobnik. To dość rozpowszechnione przekonanie, które można streścić w zdaniu, iż mężczyzna bez kobiety byłby zdolny jedynie do oglądania telewizji i picia piwa, a dopiero kontakt z uduchowionym elementem żeńskim wynosi go ponad niebiosy jego możliwości. Ko-

bieta musi więc sobie mężczyznę wychować – głosi ten niezbyt mądry stereotyp, który może skutkować całkiem realnymi i przykrymi konsekwencjami w życiu praktycznym. Echa tego myślenia widać w myśleniu Believingooda, ale na szczęście nie jest to rażące, a osadzenie tego poglądu w kontekście chrześcijańskim pozwala raczej mówić o otwarciu się bohatera na bezinteresowne dobro i miłość, niż oddaniu się Jadzi na wychowanie. Inżynier może dać się wychować inżynier, ale tylko do pewnego stopnia, tylko na tyle, na ile sam zechce w imię większego dobra zrezygnować z części starego „ja”. Jadzia na szczęście nie chce zmieniać go sama. Wie bowiem doskonale – co jest dowodem jej wielkiej mądrości, iż zmiana człowieka dokonuje się od jego dobrowolnej wewnętrznej decyzji i nie przebiega w sposób cudowny czy spektakularny, ale raczej w ukryciu serca, w drobnych drganiach wrażliwości duszy. Wejść do wnętrza ludzkiego można tylko wtedy, gdy ktoś nas tam zaprosi. Zmienić się człowiek musi sam. Wie to Jadzia i z radością przyjmuje wszystkie starania i wysiłki inżyniera, kiedy zmagą się z nieznanymi sobie wcześniej wyzwaniem, dyematami, rozterkami.

Wysiłek podejmowany przez bohatera jest naprawdę imponujący. Niemal fizycznie czujemy, jak musi zaprzeczać samemu sobie i to nie z powodu próśb i nacisków Jadzi, ale z powodu samej jej obecności. Jadzia, o której niewiele wiemy, jest postacią w dużej mierze przez Believingooda wyidealizowaną, przeczystą, anielską. To, że tacy ludzie raczej nie chodzą po Ziemi, nie oznacza, że autor dokonuje tu jakiegoś zafalszowania. On po prostu na Jadzię patrzy przez pryzmat swego dotychczasowego życia. Nawet jej wady, które zapewne miała, wszelkie jej niedoskonałości, wszystko to musi więc zblednąć jak świeczka wobec słońca zestawione z poprzednim stylem życia naszego bohatera. Ta idealizacja jest więc całkiem zrozumiała i pozwala nam lepiej wczuć się w motywację głównego bohatera, wszak jest to „Życie Jadzi według mnie”.

Próba zrozumienia religijnego, ale nie doktrynerskiego świata Jadzi jest dla inżyniera jednocześnie rodzajem powrotu do własnego, dawno porzuconego życia duchowego, które było niczym zarośnięty, pozbawiony pielęgnacji ogród. Nie rozkwitnie on od razu, może zakwitnie tam tylko jeden kwiat – Believingood jest na szczęście realistą – ale ogród ten znalazł się w obrębie zainteresowań inżyniera od kanalizacji. To niekwestionowana zaleta książki – ukazanie współczesnym językiem, nie bez humoru i autoironii możliwości odkrycia swego porzuconego świata duchowego poprzez bezwarunkową miłość drugiej osoby, która budzi w nas tęsknotę za prawdą, dobrem i pięknem w naszym życiu. Inżynier nie był bowiem człowiekiem bez zasad i moralności. Był na swój sposób poczciwy i zabawny. Dostrzegł jednak w pewnym momencie życia – dzięki spotkaniu z Jadzią, że to nie wystarcza, że kto nie mierzy wysoko, ten traci wszystko. To albo - albo, przed którym stanął. jest wyborem na jego miarę, na miarę jego świata, ale to albo - albo zaczęło odtąd konstituować jego tożsamość, nadając jego życiu wcześniej nieznaną dynamikę. A wszystko przez Jadzię... ■

Bartosz Wieczorek